

Wycieczki osobiste, choć nie tylko prywatne

28 lutego 2017

Gdy w końcu 2010 r. montowano w Świebodzinie 33-metrowego Chrystusa Króla, popadłem w zadumę. Nie dlatego tylko, że stanowi on dobrą, wizualną metaforę polskiej religijności. Z zewnątrz i szablonowej; wewnątrz wypełnionej ciemną pustką. Popadłem w zadumę, bo jestem z tego miasteczka.

W latach 1950. i 1960. pobierałem w nim nauki szkolne i zrobiłem maturę. W międzyczasie (dzięki książkom i głośnikowi, który biednym zastępował wtedy radio) nauczyłem się dobrze mówić po polsku.

MIĘDZY WSCHODEM I POLSKĄ

Gdy przybyłem do Świebodzina tuż po wojnie w jednym z bydłowych wagonów, jakimi na Ziemi Zachodnie przemieszczono repatriantów ze Wschodu, miałem kilka lat i paplałem tylko językiem „swojskim”, czyli mieszaniną białoruskiego i jakiejś kresowej odmiany ludowej polszczyzny. Różniłem się tym od przybywających tu z innych okolic kraju, mówiących inaczej i dla nas wszystkich obco.

Moja rozległa, wielopokoleniowa rodzina była chłopska. Podobnie jak inne, stanowiące miasteczkową większość, nie tylko zasilila nieliczne fabryki i zakłady pracy w niewykwalfikowaną siłę roboczą, ale też prowadziła drobne gospodarstwo.

Miała pole, świnie, drób. Chciała jednak, by dzięki wykształceniu dzieci „wyszły na ludzi”. I widziano ich przyszłość jako księży, urzędników czy lekarzy. Owe rodziny (wraz z moją) tkwiły jednak mentalnie w świecie wschodniej, kresowej wsi. Bały się nowego, marzyły o powrocie „za Bug”.

Modliły się o to.

A czyniły to nie tylko w kościołach podczas nabożeństw, ale i w domach przed kolorowymi obrazkami świętych lub figurkami Jezusa czy Matki Boskiej, które kupowano na jarmarcznych straganach od wędrownych handlarzy. Do dziś zresztą znajdują się one na honorowych miejscach w wielu świebodzińskich mieszkaniach. Nie koniecznie robotniczych.

Nic jednak dziwnego, że między ich dziećmi a nimi narastało z wolna poczucie odrębności, dystansu a nawet swoistej obcości. A też miasteczko i region, w którym było położone (Ziemia Lubuska) z istoty jawiły się jako nie do końca „swoje”.

Z jednej jednak strony (dzięki szkole, książkom, radiu, gazetom) kształtowała się w ich pociechach już inna mentalność. Z drugiej – region nie był ani dawną krainą zabużańską, którą nauczili się od dorosłych idealizować. Ani Polską po prostu.

Zostały skazane na swoistą próżnię duchową, kulturowe wykorzenienie i na niejasną dla nich tożsamość narodową. Znajdowało to wyraz zarówno w sztubackich wygłupach, jak i przypływach i odpływach żarliwej, czystej religijności. Objawiało się to nie tylko w domu, ale i w szkole czy podczas nabożeństw. Kształtowało też ambicje i dążenia, by robić coś, co w głowach ojców, matek i innych starszych tubylców nawet nie zaświtało.

Niektórzy sprostali potem tym ambicjom, inni nie. Zastygli w miasteczku. Stali się na swój sposób „tutejsi”, jak mieszkańcy Taplar z „Konopielki” E. Redlińskiego. Choć z zapuszczaniem gdziekolwiek autentycznych korzeni (zwłaszcza kulturowych i narodowym) i zapełnieniem tej próżni zawsze było u nich nie najlepiej. Byli więc niejako „bez stałego adresu”.

Wielu z nich chciało coś w tym miasteczku zmienić. Powstawały dzięki nim towarzystwa miłośników Świebodzina, koła artystyczne i literackie itp. itd. Ale i wewnątrz niego i na

zewnątrz znaczyło to niewiele. Gasło więc nie tylko w zwykłej małomiasteczkowej jednostajności i niemożności, lecz i w kontekście omszałych wzorów kulturowych, przywiezionych tu przez ich rodziców.

Rok po roku stawali się do nich podobni. Żenili się z żonami, jak śpiewała Sława Przybylska, płodzili dzieci, dorabiali się, albo popadali w biedę i święcili wszystkie dni w roku święte. Choć zawsze łatwo znajdowałem z nimi wspólny język, bo i mnie nadal brak było korzeni.

Próżnia zaś czaiła się tuż za ich plecami. Żyli w niej sami, i uczyli żyć potomstwo – dzisiaj dawno dorosłe i traktujące świat dziadów i ojców, jak krainy mrzonek i baśni.

Sam zaś Świebodzin, zwłaszcza, gdy wokoło niego zbudowano w latach siedemdziesiątych obwodnicę, zdawał się wykluczony i zapomniany przez Boga i ludzi. A kapitalizm, gdy przyszedł, też nie zmienił ich życia w coś szczególnie znaczącego. Przeciwnie: utrwalił owo zapomnienie przez ekonomiczną marginalizację większości z nich. Trwało więc to miasteczko chyba tylko siłą przyzwyczajenia. I marność mu przyświecała.

W IMIĘ CHRYSTUSA I PROBOSZCZA

Kiedy więc zamontowano w nim 33 metrowego Chrystusa Króla, popadłem w zadumę. Pomyślałem sobie, iż to całkiem oczywiste i naturalne, że zdarzył się właśnie tu nawiedzony proboszcz, któremu musiał przyśnić się Jezus, żądający swego pomnika pod postacią Chrystusa Króla.

Już sam bowiem jego pomysł wpisywał się w od lat istniejącą sytuację ekonomiczną i aurę kulturową: obiecywał pomyślność, nowe korzenie i pełnię tam, gdzie pozostawał tylko ołtarz telewizora i wszechwładza plebanii. Gdyby więc takiego duszpasterza tam nie było – trzeba by go wymyślić. Tylko bowiem on mógł coś takiego zrobić. I właściwie – jedynie to.

Proboszcz bowiem rozumiał nowe czasy i rolę Kościoła. Jak

dawni sekretarze komitetów powiatowych i miejskich PZPR, prowadził tu politykę kadrową. Kadry zaś, jak mawiał pewien zapomniany dziś klasyk z poprzedniego ustroju, decydują o wszystkim.

Dzięki temu zatem można było nie tylko znaleźć odpowiednich inwestorów, zgromadzić środki (ze „spontanicznych” datków), rozpocząć i zakończyć inwestycję. Można też było obejść ukradkiem przepisy, dotyczące zagospodarowania terenu i zabezpieczyć zgodny, urzędowy aplauz dla monumentu oraz uciszyć wszelkie sprzeciwy.

A równocześnie tylko on, którego we śnie nawiedzał sam Bóg, mógł przyzwolić, by mówiono, że posąg nie tylko na cały świat rozśławi Świebodzin, ale i stanie się źródłem dobrobytu. Bo Chrystus Król zejdzie na świebodzińską ziemię i zapewni jej rozwój i pomyślność.

Ten bowiem ewangeliczny „niesłusznie” mawiał: „Spójrzcie na ptaki niebieskie: nie sieją, nie orzą a żyją”, więc śpi w niepamięci. Ten z postumentu zaś, nie sprzeciwi się sławie i ziemskiemu ubogaceniu mieszkańców, dzięki dyskotekom, barom, oferującym np. jako danie specjalne pizzę z jego wizerunkiem, i hotelom dla turystów. Spłyną nań za to modły wdzięcznych tubylców, a autorytet proboszcza utrwali się po wsze czasy.

NA TERAZ

Dobrze wiem, że nie ma już tego miasteczka z okresu mojego dzieciństwa i licealnej młodości. Nie ostał się też (może poza akcentem) dawny język repatriantów. A dzieci owych przymusowych przybyszów ze Wschodu już od jakiegoś czasu dogorywają na nędznych rentach i emeryturach przed ołtarzem telewizora.

Chłoną powtarzane niekiedy spektakle z Janem Pawłem II., reklamy, telenowe, filmy przygodowe i wizualne obrazy lepszego, niedostępnego dla nich, świata. Trwają jeno stare lęki przed nowym i wiara, taka sama, jak ich rodzicieli, że

trzeba i można wymodlić cud.

Nie taki wszakże, co zapewni powrót do idealizowanego niegdyś kraju za Bugiem, ale taki, co pozwoli, by nie ruszając się z miejsca, nie uciekając stąd, być poza nim i zarazem u siebie.

Modlili się więc długo do kolorowych obrazków i gipsowych figurek Jezusa i Matki Boskiej oraz w kościołach. Potem do Jana Pawła Superstar, który onegdaj błogosławił ich i przemawiał wprost z ołtarza telewizora, i któremu stawiali w oknach ołtarzyki z jego wizerunkiem, gdy w swych pielgrzymkach nawiedzał kraj.

I stało się tak, jak w telenoweli. Zło przeminęło, dobro i miłość zwyciężyły. Cud się zdarzył! Nastał oto proboszcz, który ich wyniósł nawet ponad Rio de Janeiro! Gdy jednak montowano w Świebodzinie głowę czterystutonowego, wysokiego na 33 m. Chrystusa Króla, jeden z internautów napisał: „po co Świebodzinowi taki wielki piorunochron”.

Nie wiedział jednak, bo był pewnie ubogi duchem, że potrzebny on po to, aby zabezpieczyć miasteczko przed gromami wykorzenienia, próżni wewnętrznej, niepewności i biedy. Dlatego zejść musiał z nieba w uświęcającym i nadającym mu realność blasku Elektronicznego Boga.

Szalona to wszakże różnica, czy pomnik wynosi się ponad światową stolicę samby i karnawału; ponad wrzący tygiel różnic ekonomicznych, rasowych, kulturowych i religijnych, czy też przytłacza prowincjonalną, zapyziałą miejscinę, gdzie zawsze diabeł mówił dobranoc. Skazaną na ekonomiczną i kulturową degradację w przeciągach dzikiego kapitalizmu.

Ponadto: to, na co w latach 1920. stać było stolicę wielkiego kraju, dzisiaj znajduje się już w kręgu możliwości nawet małego, polskiego miasta. Nie dlatego, że stało się ono (proporcjonalnie) tak samo bogate, lecz z tej przyczyny, że aż tak spadły ceny środków produkcji (a raczej ich podróbek) do budowy takich monumentów.

Na jego postawienie więc w Świebodzinie stać było teraz zaradnego proboszcza, który odpowiednio zaktywizował władze miasta i przykościelne (a nawet – pozakościelne) owieczki i barany.

To zaś, co ważne dla mentalności prowincjonalnej zyskuje wartość przede wszystkim przez porównanie z tym, co już istnieje w jakiejś metropolii lub jest w świecie jedyne. Dlatego Świebodzin teraz to Rio de Świebodzinejro, o czym jedni mówią z dumą, inni zaś z przekąsem i ironią. Dla wszystkich jednak mieszkańców zmienił się lokalny kalendarz. I o czasach sprzed postawienia pomnika mówi się, jako o latach „przed Chrystusem”, a po – „po Chrystusie”.

Nie mają zaś znaczenia ani estetyka, ani walory artystyczne. I mieć nie muszą. To nic zatem, że wzorem figury była gipsowa rzeźba ogrodowa. Że ksiądz szatę chrystusową wyciągnął nienaturalnie w stosunku do projektu itp.

W przedstawianym tu bowiem skrótowo kręgu kulturowym nie dopuszcza się do świadomości, że sztuka w dzisiejszym świecie zaczyna się od artystycznego łamania szablonów i stereotypów. A jej wartość określa stopień oryginalności danego tworu.

Nie dopuszcza się, boć taka sztuka musi być odrębna i obca wobec tego, co wspólnotowe; co jawi się, jako ładne, bo podobne do... np. szablonowej postaci ze świętego obrazka, gipsowej figury, znanej z rodzinnego domu lub ogrodu, czy obrazka z telewizora albo jakoś kojarzy się, czy przypomina to, co znane, jak świebodziński Chrystus Król tego z Rio de Janeiro. Dzięki właśnie temu, spełnia on kryterium Atrakcji Medialnej: bycia czymś odpowiednim dla odbiorców o niskiej kompetencji kulturowej i zerowej wyobraźni socjologicznej.

PROWINCJONALNOŚĆ JAKO ZNAMIEŃ POLSKI

Zadumałem się znowu nad tym wszystkim ponownie po latach. Ale nie chciałbym, aby te wrywkowe wspomnienia i refleksje, w związku z świebodzińskim dziwologiem, łączone były tylko z

ironią wobec niego i wyśmiewaniem się.

Sprawa bowiem jest znacznie poważniejsza: odsłania wszak duchowe podłoże, w którym urzeczywistnia dziś swe materialne praktyki religia, jako ideologiczny aparat państwowy. I kształtuje się świadomość społeczna. Nie są one intelektualnie i estetycznie wyszukane. I nie muszą być. Ich wszak miarą jest tylko na wzór bożego baranka – barania natura konsumentów. Nie tylko tych świebodzińskich.

Odnoszę dziwne wrażenie, że Świebodzin to akuratna metafora mojej urodziwej nad wyraz ojczyzny i panującej dziś realnie świadomości narodowej. Neoliberalny kapitalizm wszak zawiódł nadzieje klas podporządkowanych.

Szybko się okazało, że nie wystarczy – jak powszechnie mniemano – za pomocą wyborczej kartki odrzucić poprzedni ustrój, a poziom życia stanie się taki, jak w rozwiniętym kapitalizmie. Stosunki pracy zaś rozkwitną pełnią dawnych socjalistycznych walorów.

Przeciwnie: polski kapitalizm wprowadził niesłychane rozwarstwienie społeczne. Zubożenie i niepewność perspektyw życiowych klas ludzi pracy. Krok po kroku odebrane zostały im przywileje socjalne. Zapanowała wszechwładza pieniądza. Pojawiła się atomizacja ludzi i ich społeczna bezradność. Itd. I wszystko tu stało się prowincją.

Im zatem dłużej ten ustrój trwa, tym bardziej wzrasta zapotrzebowanie na takie środki i praktyki ideologiczne, które uśpią nadzieje na lepszy świat i uczynią prawa kapitalizmu naturalną oczywistością. Dlatego państwo – zbiorowy nadzorca pracy i stróż kapitalistycznego zawłaszczania – raduje się, że Chrystus Król panuje nie tylko nad Świebodzinem i obdarza kler wciąż nowymi przywilejami. I zachęca do nowych pomysłów „w tym temacie”.

Autorstwo: Jan Kurowicki

Źródło: Strajk.eu